

Obama chce obronić cyberszpiegów



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Trzeba to powiedzieć wprost. Niedawne deklaracje Baracka Obamy w sprawie cyfrowej inwigilacji są najwykleszą zasłoną dymną. Prezydent USA broni swoich służb, jak tylko może.

Stare przysłowie mówi, że poznajemy, iż polityk kłamie po tym, że rusza ustami. W większości wypadków to opinia mocno przesadzona. W przypadku Obamy jego retoryczny tupet musi jednak wprawiać w osłupienie nawet najbardziej doświadczonych komentatorów.

Oto w weekend prezydent USA chwali się niemieckiej stacji ZDF, że „położy kres systemowi cyberinwigilacji w jego obecnym kształcie”. Zaznacza też, że pod żadnym pozorem nie chce zaszkodzić stosunkom niemiecko-amerykańskim, i obiecuje, iż amerykańskie służby nie będą już podsłuchiwać głów zaprzyjaźnionych państw.

Poza deklaracjami nie widać jednak żadnych ruchów dyplomatycznych ani nowych regulacji. Mało tego, w Stanach głowa państwa otwarcie stwierdza, że nadal zamierza inwigilować liderów państw sojuszniczych wtedy, kiedy tylko będzie tego wymagało „bezpieczeństwo narodowe”.

Obama mówi też, że zbieranie metadanych, czyli informacji dotyczących tego, kto, kiedy i z kim się kontaktuje, jest niegroźne. Zeznający kilka dni wcześniej

przed senacką komisją były dyrektor CIA stwierdza zaś coś wręcz przeciwnego. Jak to ujął: „Metadane zawierają całkiem dużo treści. Już jeśli ma się zwykły billing rozmów danej osoby, można się o niej dowiedzieć przerażająco wiele”.

Prezydent udaje również, że nie słyszy coraz głośniejszych słów organizacji obywatelskich i prawników sprzeciwiających się gromadzeniu astronomicznej ilości elektronicznych danych przez wywiadowców.

Zamiast podjąć konkretne działania, Obama wykonał bowiem coś, co jeden z analityków nazwał zręcznym „wybiegiem”. Pierwszy obywatel zapowiedział mianowicie, że dane gromadzone przez podległe mu służby nie będą przechowywane na serwerach rządowych, tylko na sprzęcie należącym do firm prywatnych. Innymi słowy, zamiast zająć się sednem całej sprawy, Obama obiecuje zmienić napisy na kilkudziesięciu biurkach.

Należy przy tym także podkreślić, że mniej inwazyjne zbieranie danych niebędących zapisami samych rozmów dotyczy

tylko obywateli USA. W przypadku dowolnego obcokrajowca, w dowolnym miejscu globu służby amerykańskie nadal nie będą miały żadnych skrupułów. Wciąż będą mogły w majestacie prawa do cna odrzeć delikwenta z jego prywatności, a wszystko dla dobra swojego „bezpieczeństwa narodowego”.

Prezydent mógłby oczywiście położyć kres amoralnym praktykom swoich służb jednym podpisem. Mimo to woli zwodzić i lawirować, narażając się na polityczne ataki zarówno z lewa, jak i z prawa. Pojawia się więc pytanie, dla kogo tak naprawdę głowa państwa wykonuje swoje karkołomne, retoryczne akrobacje? Czyżby faktycznie była księciem z traktatu Machiavellego; człowiekiem, który poświęca własną cnotę, byleby zapewnić obywatelom bezpieczeństwo?

Cóż, warto tu przypomnieć, że w Stanach zatrudnienie w całym rządowym sektorze zbierania tajnych danych zbliża się powoli do miliona. Jednocześnie zaś według coraz większej liczby analityków obsesyjne gromadzenie zettabajtów informacji przynosi zaskakująco mało rezultatów lub działa tylko w połączeniu z tradycyjnymi metodami śledczymi.

New American Foundation w ogłoszonym niedawno raporcie pisze np., że

w zbadanej przez nią dość pokaźnej grupie skazanych lub zabitych terrorystów w ok. 60. proc. przypadków do namierzenia doszło przy użyciu tradycyjnych metod policyjnych. Masowa cyberinwigilacja w stylu NSA była zaś decydująca tylko w 1,8 proc. przypadków.

Obama mógłby oczywiście położyć kres praktykom swoich wywiadowców jednym podpisem. Mimo to nie robi, woli zwodzić i lawirować, narażając się na polityczne ataki zarówno z prawa, jak i z lewa

Czyżby więc Barackowi Obamie i jego zausznikom nie chodziło wcale o faktyczny terrorizm, tylko o interesy rozrastającego się w geometrycznym tempie aparatu biurokratycznej kontroli? Wątpię, aby ktośkolwiek usłyszał w tej sprawie od prezydenta szczerą odpowiedź. W końcu ostatecznie na szczerą nie potrafi go już namówić nawet pierwsza dama.